

Protokół przesłuchania świadka01/198
256

Warszawa, dnia 20 marca 1947 r. Członek Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Warszawie p.o. Sędzia Halina Werenko, działając na mocy Dekretu z dnia 10.XI.1945 r. o Głównych i Okręgowych Komisjach Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce (Dz.U.R.P.Nr.51, poz.293), przesłuchiwała niżej wymienionego w charakterze świadka bez przysięgi.
Po uprzedzeniu świadka o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznanie oraz o treści art. 107 i 115 k.p.k., świadek zeznał co następuje:

Imię i nazwisko	Edward Kowalski
Imiona rodziców	Jerzy i Helena z domu Bleck
Data urodzenia	14.III.1914 r.
Wykształcenie	lekarz ^{i magister} farmacji
Wyznanie	rzym.kat.
Miejsce zamieszkania	Warszawa, [REDACTED]
Zawód	lekarz oddz.Wewnętrzznego szpitala Wolskiego, kierownik apteki szpitala Wolskiego i asystent zakładu chemii fizjologicznej U.W.

Od początku powstania warszawskiego pracowałem jako lekarz w Pierwszym Szpitalu Wojskowym Armii Krajowej w rejonie Starego Miasta. Szpital nasz został zorganizowany na terenie szpitala Jana Bożego przy ul. Bonifraterskiej. W pierwszych dniach powstania nie orientowałem się ściśle w układzie sił naszych i niemieckich. Widziałem iż Niemcy atakowali od strony Żoliborza. Nasze pozycje początkowo miały w posiadaniu ul. Stawki, po kilku dniach stan posiadania się zmienił i nasze posterunki stały o kilka domów od szpitala Jana Bożego. Odrazu w pierwszych dniach sierpnia Niemcy zbombardowali gmach szpitala Jana Bożego. Podczas okropnych nalotów wielu rannych i psychicznie chorych zginęło. Szpital nasz został przeniesiony na ul. Długą 7, do gmachu dawnego Ministerstwa Sprawiedliwości. Cały budynek był zajęty przez wojsko A.K. Mieściły się w nim różne Komendy różnych hata-lionów. W pierwszych dniach sierpnia urzędował tam gen. Bor do około 25.VIII. 1944. Batalion "Wigry" majora Trzaska i inne. Od pierwszego dnia Starówka była silnie bombardowana i ostrzeliwana ogniem artylerii. Kierunku obstrzału nie mogę ustalić. Każdy dom był w pierwszej linii frontu. Nie można było marzyć o osobnym pomieszczeniu dla szpitala. Zresztą było to właściwie bez znaczenia, w walce z powstańcami Niemcy nie przestrzegali żadnych zasad prowadzenia wojny - szpital i ranni nie mieli odmiennych praw. Domy z wywieszonymi sztandarami Czerwonego Krzyża były bezlitośnie bombardowane. Szpital Jana Bożego był zbombardowany pomimo iż miał wywieszoną flagę Czerwonego Krzyża. Zginęli tam dr. psychiatra Darkowska, która pozostała z umysłowo chorymi i inni. Szpital składał się z "sali operacyjnej" i oddziałów chirurgicznych. Wszelkie terminy z szpitalnictwa są w tym wypadku zupełnie nieodpowiednie i brzmią jak kpiny. Sala operacyjna była zorganizowana w piwnicy, bez światła, bez bieżącej wody, w piwnicy nad którą waliły się piętro za piętro, tak że tynk i odłamki cegły usuwały się z sufitu. Oddziały chirurgiczne mieściły się w piwnicach i na parterze. Ranni pokotem leżeli na materacach, na noszach, na ziemi. Od ciągłego obstrzału i bombardowań różne partie domu sypały się w gruz, - i tak nieraz ranni przeniesieni do szpitala byli ranieni po raz drugi już w samym szpitalu. Dyrektorem administracyjnym szpitala był doc. Falkowski (dyrektor szpitala Jana Bożego), kierownikiem zespołu operacyjnego dr. Stroński. Zespół chirurgiczny składał się z 8-10 lekarzy i 2 felczerów. Z nazwisk pamiętam: prof. Tomaszewski, dr. Krauze, dr. Kołaczkowski, dr. Kalinowski, dr. Jakimowicz, dr. Tomaszewska, dr. Mockało. Personelem pomocniczym kierowała siostra szarytka "Marta". Praca w szpitalu wyglądała następująco. Do pierwszej piwnicy, która spełniała rolę izby przyjęć znoszono rannych. Tu lekarz dyżurny kwalifikował poszczególne wypadki i decydował o przeniesieniu rannego na salę operacyjną.

Już sprawa zakwalifikowania każdego przypadku była przejmującą w swoim tragiźmie. Rannych znoszono bez przerwy często kilkunastu naraz. Pamiętam makabryczny dzień, w dniu 13 sierpnia 1944 r., gdy nasi żołnierze zdobyli czołg niemiecki. Czołg ten specjalnie był naładowany miną tak, że w momencie gdy szczęśliwi chłopcy jechali z nim ulicą Kilińskiego a chmara dzieciarni oblegała czołg, nastąpił straszny wybuch z czołgu nie zostało śladu. Pochowaliśmy wtedy 500 głów rozszarpanych ciał, rannych znoszono bez przerwy. Należało już w "izbie przyjęć" wybierać tych których rany były tego rodzaju, że można było wierzyć w ocalenie po wykonanym zabiegu. Reszta rannych nie mogła być operowana. Chorych segregowano na dwie grupy. Do pierwszej należeli chorzy, których stan wymagał dużych zabiegów: otwarcie jamy brzusznej, szwy jelitowe, względnie rezekcja jelit oraz trepanacja czaszki. Jeśli chodzi o zabiegi klatki piersiowej - wykonywano jedynie zeszywania otwartych ran. Zabiegów takich, jak uszkodzeń nerek, śledziony czy wątroby w tych warunkach nie można było wykonywać. Do drugiej grupy należeli ranni, którzy wymagali mniejszych zabiegów a więc: amputacje i agzartykulacje kończyn, pierwotne szwy, opatrunki gipsowe, zakładanie szyn. Każda z 2 "sal" (do dużych i mniejszych zabiegów) posiadała swój zespół operacyjny, który pracował dzień i noc bez wytchnienia. O pracy tej trudno mieć jakiegokolwiek wyobrażenie, warunki zaprzeczały najskromniejszym wymaganiom sanitarnym. "Sale operacyjne" mieściły się w dwóch malutkich piwnicach, które trzęsły się od wybuchów bomb i ostrzału artylerii. Tynk z sufitu opadał nieraz na pole operacyjne. Światło jakim rozporządzaliśmy - były to świece, częstokroć jedna świeczka trzymana nad raną. Wodę z narażeniem życia (wszystko tu zresztą było narażeniem życia) czerpano w jakichś niezasypanych studniach i przynoszono w otwartych kubkach. Siostra Marta czyniła nadludzkie wysiłki, aby wysterylizować sobie narzędzia chirurgiczne i bieliznę operacyjną. Z uporem i wytrwałością przygotowywała jeden komplet za drugim, wiedząc jak odpowiedzialna jest jej rola. Piekło walki i beznadziejna męka znoszonych do piwnic rannych ucichała na sali operacyjnej, tu nie było miejsca na nic, poza wielkim wysiłkiem osiągniętym - skupieniem. Nie myślano o naloce i barykadach, tylko o tym co dzieje się w obrębie pola operacyjnego, otwartego brzucha, czy klatki piersiowej. Praca była tem trudniejsza, że cały zespół lekarski wiedział, że ranni następni czekają. Chory, którego jeszcze pod narkozą wynoszono z sali operacyjnej nie miał już kontaktu z chirurgiem, układano go na ziemi jednej z sal szpitala pod opieką innych lekarzy i sanitariuszek. Ci lekarze z sal operacyjnych byli przeznaczeni na pracę przy stole operacyjnym. Lekarze byli półprzytomni ze zmęczenia. Z jedzeniem było ciężko, na sen nie było czasu. Siły fizyczne zespołu wyczerpywały się szybko. Trudno mi teraz wprost zrozumieć skąd mieliśmy siły trzymać narzędzia. I tak na przykład w końcu września pamiętam jak prof. Tomaszewski operuje ciężki przypadek (laparotomia) mając przeszło 39% gorączki. Straszne klęski tej walki rozgrywają się nad piwnicami. O samej akcji wiemy tyle, że ten ranny jest z Pałacu Mostowskich, a ci z Papierów Wartościowych. Ataki odparte, barykady zdobyte i barykady stracone, wszystko to dociera do szpitala liczbą rannych, poszarpanych chłopców, dziewcząt, kobiet i dzieci, liczbą która jest jednakowo krwawa w zwycięstwach i klęskach. Były prowadzone naturalnie książki operacyjne. Spaliły się przed przybyciem Niemców. Pamiętam, że liczba operacji na obu salach wynosiła koło 100⁰ przez ten miesiąc (do 1 września). Szefem sanitarnym Starówki był pułkownik Tarło, obecnie zatrudniony w Ministerstwie Obrony Narodowej w służbie zdrowia (albo w szpitalu Okręgowym). Jest 1 września. Oddziały A i K. przedostały się makabrycznym pochodem przez kanały na śródmieście, nieduża grupa przedarła się górą (z kilkudziesięciu prawie 90% zginęło). Z naszego zespołu ja byłem jedynym lekarzem, który pozostał na miejscu. Miałem ze sobą swoje siostry i felczerów. Został też nasz ksiądz ks. J. Roztworowski. Dziwna cisza gorzej szarpała nerwami niż huk walki, do której byliśmy przyzwyczajeni. W sobotę rano Niemcy wkroczyli na teren szpitala. Było wtedy na Długiej przeszło 500 rannych i około 50 osób personelu. Całemu personelowi kazano wyjść na podwórze.

01200
258

Koło mnie stał ks. Roztworowski. Niemcy kazali nam klęczyć. W tej pozycji zaczęło się przesłuchanie. "Czy to szpital bandycki?" wszystkie pytania kręciły się koło tego. Nie było żadnej możliwości wkrycia faktów, ranni leżeli w niemieckich "tygrysach" w bluzach które A.K. zdobyło dla swoich żołnierzy w ataku na magazyny na Stawkach. Broniliśmy się w najprostrzy sposób: jako lekarze i wykwalifikowany personel szpitalny jedynym naszym obowiązkiem było przyjść z pomocą każdemu rannemu, niezależnie kim by ten ranny był, lub co robił. Niemcy wysłuchawszy naszej obrony (wszystko na klęczkach) kazali nam zostać i kontynuować pracę. Byliśmy zadowoleni, chociaż nam przecież tylko o to by być z chorymi i robić swoje. Ranni napływali niekończącą się koleją. Pracowałem bez chwili przerwy do 12-ej. O 12-ej zjawił się znów Niemiec i kazał mi się niezwłocznie wynosić na podwórze. Pokazałem mu rannych czekających na zabiegi, nic nie pomogło. Złapał mi trochę narzędzi i wyszliśmy z naszych "sal operacyjnych". Na podwórzu była zebrana większa część personelu sanitarnego i około 50 lżej rannych, którzy mogli się wywlec ze szpitala, razem około 100 osób. Czekając na rannych, którzy zbierali się koło mnie słyszałem serie strzałów i strzały pojedyncze. Nie zdawałem sobie sprawy z tego co one oznaczają. Nawet najstraszniejsze doświadczenia lat okupacji nie mogły mnie przekonać, że istnieją ludzie którzy od łóżka do łóżka idąc rozstrzelali ciężko rannych. Sformowano nas w pochód. Szliśmy dużą grupą przeczuwając już los tych rannych, którzy zostali na Długiej, my zdrowi nieśliśmy i podtrzymywali rannych, wierząc, że może w ten sposób zdobędziemy dla nich szansę ratunku. Niosłem na rękach ranną dziewczynę i patrzyłem na nasz makabryczny pochód. Widziałem ludzi wyczerpanych do ostatka z obandażowanymi głowami i kończynami wlekących za sobą ciało w skurczach bólu z wyrazem półbłędym od strachu. Ogipsowane kończyny i kończyny na szynach ciągnęli w ostatnim wysiłku. Będąc lekarzem nie rozumiałem jak ci poranieni ludzie są w stanie się poruszać. Niemcy bili i kopali chcąc przyspieszyć tempo tego makabrycznego marszu. Szliśmy ul. Podwale w kierunku Pl. Zamkowego. Przy ul. Wąski Dunaj zatrzymano nas. SS-man znów miał do nas mowę, która polegała na strasznym wymyślaniu nam, od świń i bandytów itp. Ohydna mowa skończyła się wybraniem ciężko rannych około kilkudziesięciu. Wydarto nam poprostu rannych tych wszystkich, którzy nie mogli iść o własnych siłach dość szybko. Rannych tych ten sam SS-man wprowadził w ulicę Wąski Dunaj. Słyszeliśmy serię strzałów. Teraz nikt już z nas nie miał wątpliwości co te strzały oznaczały. Widziałem w 1945 r. prochy na ul. Wąski Dunaj. Nie dowiedzieliśmy się się dokąd nas prowadzą, jednego byliśmy pewni, idziemy na rozstrzał. Na Pl. Zamkowym zatrzymano nas znowu. Znowu mowa, znów bandyci i inne okropne wyzwiska, słuchaliśmy obojętnie. W tem zwrócił się do nas z zarzutem, że lekarze polscy znęcali się nad rannymi Niemcami, którzy wpadli w ręce powstańców. Wściekłość mnie szarpnęła. Pamiętałem niejednego Niemca na naszym stole operacyjnym, traktowaliśmy go, jak każdego rannego. Wystąpiłem z szeregu i powiedziałem im to dobitnie po niemiecku. SS-man zdziwiony, że śmiałem się odezwać patrzył na mnie w osłupieniu a po chwili doszedł do mnie i kopał mnie z całych sił. Po chwili zjawił się inny oficer niemiecki i znów miał mowę. Tym razem mowa ta była bardzo uprzejma, a celem jej było zwrócenie się do nas o pomoc dla naszych rannych. Wziąłem na ręce ciężko ranną i powędrowaliśmy na ul. Bednarską. Jeszcze raz zwróciłem na Pl. Zamkowy po ciężko rannego, który czekał na mnie. Kiedy przybyłem z powrotem na ul. Bednarską, nie było już mojej grupy. Cekał na mnie ten sam SS-man. Zaczęło się 2-godzinne przesłuchanie. Niemiec był wybitnie inteligentny i doskonale orientował się w życiu podziemnym kraju. Pytania jego dotyczyły najróżniejszych dziedzin. Pytał więc naturalnie "ile wojska było na Starówce"? Jakie dowództwo? Dokładnie sondował mnie na temat tła politycznego powstania, zresztą miał doskonałe wiadomości, z wszystkich tych dziedzin. Sam o sobie mówił że był przyjacielem Kutschery. Najbardziej intrygowało zagadnienie dokąd i jak opuściły oddziały wojska, Stare Miasto. Niemcy myśleli, że wojsko przeszło na Pragę tunelem pod Wisłą. Tunel taki był projektowany w 1905 r. i o projekcie tym Niemcy wiedzieli. Gdy po 2 godzinach SS-man uwierzył że nic, nie wiem o tem co się działo, gdyż całe

moje pole widzenia organizowało się do pola operacyjnego, dał mi spokój i zakończył badanie dyskusją światopoglądową i filozoficzną. Jeśli chodzi o mnie było mi obojętne co ze mną zrobią, chciałem jedynie aby mi pozwolili być lekarzem w pewnym obozie koncentracyjnym do jakiego trafię. Oficer obiecał mi to. Zorganizowałem zaraz grupę sanitarną z 8 sanitariuszek A.K. i jednego felczera. Do grupy naszej dołączyło się jeszcze koło 10 osób cywilnych ze Starówki i całą tę grupę oficer SS-man zaprowadził do siedziby żandarmerii polowej na ul. Ossolińskich Nr. 4. Przenocowaliśmy w zimnej szopie. Raniutko 2 września schodzili się ludzie z różnych ulic ewakuowanego Starego Miasta. Było nas koło 500 osób, uformowano znów pochód i pognano bijąc i poszturchując przez ul. Trębacką, Pl. Żelaznej Bramy, Chłodną na ul. Wolską do kościoła św. Wojciecha. Kościół św. Wojciecha był obozem przejściowym. W plebanii kościoła mieścił się częściowo sztab Gestapo z Al. Szucha i Siecherheitsdienst der Kampfgruppe Reinefarth. Część sztabu warszawskiego Gestapo z Geiblem przebywała poza Warszawą, zdaje się w Sochaczewie. Komendantem był Hauptsturmfuehrer Spielker, zastępcą Hauptsturmfuehrer'a Vogt. Spielker podlegał Geiblowi, SD z Kampfgruppe Reinefarth podlegało również Spielkerowi, który był główną osobą na odcinku warszawskim. Za plebanią, jak później się dowiedziałem było więzienie. Specjalistą od wyszukiwania Żydów z transportów był podoficer SS Muller, uprzednio zatrudniony w Lublinie. Był to wysoki brunet, szczupły, o czarnych oczach, wyglądający na byłego policjanta. Kościół to była możliwość wolności, poza obrębem kościoła nic dobrego nie mogło nas spotkać. Jako grupę sanitarną wypuszczono naszą dziesiątkę mnie i 8 osób z grupy sanitarnej do kościoła. Normalnie proces odbywał się następująco: Przed kościół pędzono wszystkich i taks szli tutaj młodzi i starzy, chorzy i ranni, dzieci z poszczególnych dzielnic i poszczególnych bloków, tak jak padały ulica po ulicy, a więc szli ludzie małymi grupkami z Woli, od września ze Starówki i ulic przylegających do Starówki, z ul. Dobrej, Ludnej, Lipowej itp. część śródmieścia która ograniczyła z ul. Krakowskie Przedmieście, ul. Czackiego, Świętokrzyską, ul. Górskiego aż do Chmielnej. W ostatnich dniach września szły ulice z Żoliborza, w dwa dni po Żoliborzu grupki z Mokotowa, większość z Mokotowa kierowano bezpośrednio na dworzec Zachodni, w kilka dni później poddało się śródmieście i ludność była kierowana przez kościół. Przed samym kościołem stali już specjaliści n.p. Muller (zwłaszcza w I okresie), którzy wybierali sobie młodych ludzi, którzy wyglądem przypominali im powstańców to samo robili z ludźmi, których podejrzewali o pochodzenie żydowskie. Kierował wybieraniem Polak w mundurze SD, którego nazwiska nie pamiętam. Był to blondyn, średniego wzrostu, z grubym karkiem. Żydów wyprowadzono i więcej ich nie widziałem. Gdy pochód wszedł na teren kościoła rozdzielono mężczyzn od kobiet, dzieci i starców. Mężczyźni zostawali na zewnątrz a reszta szła do środka kościoła. Los mężczyzn był różny, zasadniczo podejrzanych o udział w A.K. gnano do więzienia, przesłuchiowano i następnie wysyłano do obozów, część zdrowych i silnych mężczyzn zostawiano do robót w Warszawie, resztę organizowano w transport i do Pruszkowa. Kobiety, dzieci, starzy mogli odpocząć chwilę następnie organizowano dwa razy dziennie transporty na dworzec Zachodni (pieszo) a stamtąd pociągami do Pruszkowa. Gdy weszliśmy zobaczyliśmy następujący widok, kościół brudny i zanieczyszczony, tłok i zaduch straszliwy, ranni razem z dziećmi i starcami, ludzie wyczerpani fizycznie i psychicznie do ostatka. Ogólna panika i przerażenie, co z nami będzie. Wśród tego bezradnego, wynędzniałego tłumu uwijał się SS-man i krzyczał przeraźliwie, próbując przekrzyczeć lament i płacz, jęki i wołania dzieci, bił szpicrutą bezmyślnie gdzie popadnie. Wzięliśmy się natychmiast do roboty. Oczyszcziliśmy przy pomocy ludzi prezbiterium koło Głównego Ołtarza i tam zorganizowaliśmy prowizoryczne ambulatorium. Ludzie wypędzeni z miasta z własnych domów brali co popadło najdziwniejsze rzeczy, potrzebne i niepotrzebne. Po przyjsciu do kościoła tak byli zmęczeni noszeniem, że zostawiali połowę biorąc w dalszą drogę rzeczy z większym sensem. Znalazły się zaraz kołdry i koce poukładaliśmy to wszystko dookoła ołtarza i przenieśliśmy rannych. Zebrałem od ludzi trochę lekarstw trochę środków opatrunkowych i wziąłem się do opatrunków.

01202160

Nastąpił dzień po dniu, noc po nocy nowego koszmaru. Ewakuowano olbrzymie miasto, wypędzono ludzi zmordowanych miesiącem walki i nalotów, przed naszymi oczami przeciągał się ciąg tragedii ludzkich. Widziałem sceny jak z biblij. Kolejność pracy wynikała z sytuacji: Nadchodził transport - starałem się za wszelką cenę wciągnąć mężczyzn do kościoła. Mówiłem że ranny, że chory, wymyślałem różne proteksty albo bez protekstu wciągałem ludzi przed ołtarz. Później gdy Niemcy przyzwyczaili się do mnie i mojego uwijania się wszędzie gdzie mnie potrzeba było i nie potrzeba, wyprosiłem pozwolenie kontaktu z moim macierzystym szpitalem Wolskim na ul. Płockiej 26. (Pracowałem w szpitalu jeszcze przed wybuchem powstania). Od tego momentu miałem nie tylko środki opatrunkowe i lekarstwa ale i możliwość przenoszenia oficjalnie i szmuglowania ciężko rannych. Było to bardzo ważne, gdyż szpital miał prawo ewakuować swoich chorych z ominięciem selekcji w Pruszkowie. W ten sposób szereg młodych powstańców uniknęło obozu. Następnie szedłem do kościoła i tam czekała codzienna robota. Opatrzeć rannych, rozdać potrzebne lekarstwa chorym, uspokoić ich po rozstaniu z mężczyznami i kazać im się mądrze przygotować i spakować do dalszej drogi. Siostry, przy pomocy samych wypędzonych zbudowały kuchnię z cegieł przed kościołem. Na kuchenkach gotowaliśmy jakąś zupełnie gorącą, ludzie byli głodni, zziębnięci i spragnieni. Niemcy patrzyli na wszystko coraz bardziej przez palce, dogadzało im się zresztą, że wprowadzamy jakiś ład w tym tłumie ludzkim, który wciąż napływał. Żywność dostawałem różnymi sposobami z kotła szpitalnego z Wolskiego z więzienia za plebania od samych wypędzonych, od żołnierzy niemieckich, od robotników z chłodni miejskiej itd. Po wodę i pomidory robiliśmy wyprawy. Miałem prawo poruszania się w najbliższym rejonie i wolno mi było wziąć paru ludzi, za których powrót byłem naturalnie odpowiedzialny. Po wytransportowaniu/opatrzeniu i nakarmieniu jednej partii wracałem przed ołtarz do ciężko chorych i rannych; zdarzał się i poród, i tutaj czekałem na następny tłum przygnany do kościoła. Moje "panowanie" kończyło się w kościele; ludziom w więzieniu i na plebanii niewiele mogłem pomóc, potem wołali mnie do jakiegoś zabiegu, ale szedłem pod ostrą kontrolą. Niemcy zachowywali się różnie. Czasem spełniali moje prośby czasem tłukli mnie niemiłosiernie. W niedzielę koło 10 września zjawiła się nagle Komisja Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z Genewy, która pragnęła zapoznać się z warunkami ewakuacji Warszawy. Rozpytywali mnie dokładnie o wszystko i poszli żegnając zdawkowym: "Odwagi, doktorze". Po wizycie Komisji zostałem oficjalnie lekarzem obozu przejściowego w kościele św. Wojciecha, uznanym i honorowanym przez władze wojskowe i policyjne niemieckie. Od tej pory ci wszyscy, którzy parę dni temu mnie stłukli ułatwiali mi pracę. W kościele św. Wojciecha byłem do końca ewakuacji, a po jej zakończeniu uzyskałem pozwolenie powrotu do mego macierzystego szpitala na ul. Płockiej 26, z którym opuściłem Warszawę w końcu października.

Na zakończenie chciałbym dodać parę uwag ogólnych o zachowaniu się Niemców, które widziałem osobiście. Stosunek do A.K. - na początku cały wysiłek Niemców zmierzał do wyłapania żołnierzy A.K. z ogólnego tłumy ludzi pędzonych do kościoła. Ponieważ żołnierze nasi wiedzieli co ich czeka starali się jaknajbardziej wyglądać "na cywila". Niemcy już na ul. Wolskiej stawiali specjalistów, między innymi jeden z policji kryminalnej, nazwiska nie znam i po wyglądzie zewnętrznym (trzymanie się, długie buty, wyraz twarzy) wykazywali podejrzanych. Los ich był już przesądzony rozstrzał albo obóz koncentracyjny. Tak było do ewakuacji bliskiego Czerniakowa. Na ul. Wilanowskiej bodaj wzięto do niewoli po ciężkiej walce oddział A.K. (kilkudziesięciu), był to pierwszy oficjalny oddział A.K., który przyszedł do kościoła. Było to około 20 września 1944 r. Niemcy wzięli ich do więzienia i trzymali dwa dni nie pozwalając im nawet posłać jedzenie. Po 2 dniach wezwał mnie Vogt i kazał mi przetłumaczyć, że muszą przyznać się w jakiej formacji wojskowej są a on da im słowo honoru że zostaną razem przewiezieni do normalnego obozu jeńców i traktowani jako tacy. Tak się też stało. Od tego momentu skończyły się samowolne znęcania nad powstańcami, a oddziały polskie szły w normalnym szyku batalionów

01203
261

na dworzec Zachodni skąd wysyłano ich do obozów. Niemcy nie pozwalali żołnierzom A.K. na kontakt z ludnością cywilną. W kościele nie zatrzymywano ich już więcej. Nie wolno było ani mnie ani sanitariuszkom zbliżać się do nich. Tak przeszedł częściowo Czerniaków i Żoliborz. Jednego dnia Niemcy przywieźli Berlingowców z Czerniakowa. Stan żołnierzy polskich był przerażający. Chcieliśmy natychmiast wziąć się do opatrunków. Niemcy nie pozwolili nawet zbliżyć się do nich. Traktowali ich okropnie męcząc i głodząc. Trzymali ich przez krótki czas w więzieniu, co się stało z nimi potem nie wiem. Na tym protokół zakończono i odczytano.

Edward Kowalski

/ Edward Kowalski /

Członek Okręgowej Komisji

p.o. Sędzi a

/ Halina Werenko /

Werenko

Biuro Udo-
Archiwizacji